

J. H. Rosny.

# Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłumaczyła M. J. MIGOWA)

7

— Gdyby to był cud!... Czyż jest jakiś sens stosować w tym wypadku to słowo... Oznacza ono, że istnieje prawo bezwzględnie niezmiennie i że trzeba dopiero interwencji bezwzględnie doskonałej istoty, aby je przełamać. Ja wierzyłem zawsze w prawa jedynie względne, które mogą ulegać załamaniu, a nawet zniknąć zupełnie. To, co my wiemy o świecie, to takie znikome. Trudno na tej mikroskopijnej podstawie budować system ogólny. I ja nie budowałem go nigdy. Dlatego też nie dziwie się niczemu.

— A gdyby to nie wyjaśniło się nigdy?

— Do niezliczonego szeregu zjawisk niewyjaśnionych przybyłby fakt jeszcze jeden i oto wszystko.

## II.

Był to dzień zimowy, łagodny, przepiękny. Długie obłoki ścigały się ponad falami.

Barki rybackie kołysały się w dali dziwnie czyste w zarysach, a jednak jakby lekką przesłonięte mgłą. Dwie fregaty z rozpiętymi żaglami sunęły ku wyspom.

Wielka mewa kołowała w powietrzu ponad morzem, które wznosząc się szeroką falą, zdawało się tak młodem, jak w dniu swych narodzin, w zamierzchłych w pomroce wieków czasach.

Obaj młodzi żołnierze towarzyszyli Walentyńce w przechadzce na wybrzeże.

Skały sterczały niby jakieś poszarpane, chaotyczne warownie, z wyżłobionymi, głębokimi pieczarami.

Walentyńca i jej towarzysze szli powoli, w milczeniu. Piersi ich wznosiły się pełnią życia.

Wokół nich przyroda, jak zawsze, nabrzmiała mocami i przyjaznymi i wrogimi.

Czerpali z niej siły za każdym oddechem, a jednocześnie słyszeli głuchy pomruk bezustannej groźby, zapowiedź nieubłaganego zniszczenia.

Miłość, która przepromieniała młodzieńców, była emanacją matki przyrody. Równie jak ona tętniała energią szczęścia, nie przestając budzić niepokoju.

Suknie pięknej dziewczyny drżały lekko na wietrze. Twarz jej blada, delikatniejsza niż przepływające po niebie obłoki, szkarłatny owoc ust — śpiewały milczący hymn upojenia.

Piotr i Filip czuli się teraz pełni sił, chociaż chód ich z powodu ran był jeszcze nieco chwiejnym.

Wzruszenia przeżyte na wojnie dodawały mocy i powagi ich uczuciu. Pragnęli odrodzić się w nowych istnieniach. Krew rasy podnosiła bunt przeciw temu, by miała pozostać jałową.

Los fatalny zrzucił, że stali się rywalami. Myśleli o tem, stąpając po kamkach i piasku w ślad za smukłą postacią. Cierpieli, ale nie przez zazdrość.

Jeden nie mógł być zazdrosnym o drugiego. Zachowali ku sobie tę samą gorącą skłonność, która płynęła z tajemnych, najgłębszych źródeł istnienia i której nic nie mogło skruszyć.

A zatem, czyżby jeden miał przecierpieć i poświęcić się?

Walentyńce w jej nieświadomości zdawało się, że kocha tego, który przyjął imię Piotra. Zamiast jednak, by odróżniać go coraz lepiej od tamtego, odróżniała go z każdym dniem mniej.

Zdawało się jej, że są jeszcze bardziej jednakowi, aniżeli w dniu powrotu. I nie myliła się.

Z początku wzrok bardzo bystry mógł dostrzedz lekką różnicę w cerze i w szerokości twarzy.

Obecnie i ta słaba różnica zniknęła.

Nie różnili się już niczem, jak tylko odzieżą. Często w tajemnicy przed panią de Givreuse i panną de Varsennes zamieniali ubrania i ten, który poprzednio odgrywał rolę Filipa, stawał się Piotrem.

Taka zamiana odpowiadała sentymentowi, każdy mógł z kolei zbliżyć się z synowską poufałością do swojej matki.

Wybrzeże było teraz opustoszałe. Spotkali jednak dwóch młodzieńców i rybaczkę, udającą się na połów raków. I ich niezwykle podobieństwo nie budziło już zdumienia. Oswojono się z niem.

Wszyscy uwierzyli w historię, jaką hrabia Rougeterre opowiedział pani de Givreuse.

Jeden z nich został sam na sam z Walentyńcą, ten, który w owym dniu odgrywał rolę Piotra Givreuse.

Od strony morza zerwał się słaby, ciepły wiatr, niosąc szeroki oddech i lekki posmak burzy.

Dziewczyna zaczynała czuć zenerowanie. Duchowe jej życie było nieskalanie czystem i dziewiczym, zarówno przez wychowanie, jak przez wrodzoną uległość przepisom.

To też brakowało jej blasku świadomego poznania, aby rozświecić uczucia, kipiące z żywiołową siłą instynktu.

Starannie dobierana „biała” lektura nie mogła przyczynić się do rozproszenia nieświadomości.

We wszystkim, co dotyczy zasadniczego celu przeznaczenia kobiety, była jak małe dziecko. A jednakowoż natura stworzyła ją do wielkiej, gorącej miłości.

To, co się w niej budziło teraz, wstrząsało duszą, niby huragan w ciemnościach.

Walentyńca wiedziała tylko tyle, że powinna dzielić życie mężczyzny i godziła się na to.

Ale drżała przed straszliwą rzeczywistością: ten mężczyzna, którego kochała, miał dwie postacie, dwie twarze. Dwie — a przecież jednokowe.

Ten dziwny dramat, którego nie potrafiłaby określić słowami, ani nawet objąć myślą, mącił spokój dni i nocy Walentyńcy.

Piotr i Walentyńca wstąpili w fantastyczny kraj z kamienia, rozciągający się u stóp skał nadmorskich. Było to coś, niby dzieło cyklopów. Jakieś miasta pierwotne... cmentarze z granitu... wieżycy wysmukłe... piramidy... ruiny świątyń...

A przecie nie tknęła się tego ręka ludzka. To morze tylko pracowało od setek tysięcy lat, wspomagane przez wichry i burze.

— Przypomina pani sobie? — szepnął nieśmiało młody żołnierz — Tutaj przechadzaliśmy się po raz ostatni... przed wojną. Ileż to razy później widziałem panią oczyma duszy... tak jak pani stała na tym czerwonym kamieniu, z prawie że rozplecionymi warkoczami... Mała barka niby srebrny sierp księżycy sunęła gdzieś w stronę Zachodu... Zapadał wieczór... Już błyszczało światło latarni nadmorskiej i świeciły pierwsze gwiazdy... To najpiękniejsze wspomnienie mojego życia.

Zwróciła ku niemu swoje piękne celtyckie oczy. Było to nieme wyznanie, bardziej wymowne, aniżeli słowa.

Drżeli oboje z nadmiaru sił młodości, z żaru uczucia i słodczych marzenia.

Ale kiedy tamten drugi zbliżył się, Walentyńca uczyła, że ogarnia ją lęk nieznosny.

Nagle stało się dla niej pewnem, że i ten ją kocha i że niema żadnej przyczyny zasadniczej, dla której należałoby go odrzucić.

Przerażenie i litość miały naprzemian dziewczyną. Czyniła sobie wyrzuty. Lecz wszystko, cokolwiek powiedzieć mogła, musiało zmiłknąć przed niezrozumiałym, a mocnym nakazem instynktu.

Po powrocie do zamku młodzi żołnierze schronili się w zdziczałym parku. Ten, który rozmawiał z Walentyńcą, opowiedział całą scenę w taki sposób, jakby ją powtarzał samemu sobie.

Tamten rzekł:

— Cóż począć teraz? Wskazałeś drogę przyszłości. Jeden z nas ożeni się z Walentyńcą. To konieczne. W tem tkwi szczęście tak pewne i tak wielkie. Ale co stanie się z drugim?... Więc będzie skazany na cierpienie?

— Inna, nowa miłość może go ocalić... Życie jest tak urozmaicone... Wystarczy jakieś spotkanie. Czas jest naszym sprzymierzeńcem i... jego przemiany...

W ruinach ozwał się chrypliwy wrzask sójki. Obaj mężczyźni stali cicho w niepewności tragicznej.

— Któryż jest tym, co do starości będzie nosił nasze nazwisko i otrzyma Walentyńcę w podziale?

— Któryż jest tym, co nie będzie miał żadnego nazwiska... co będzie jako podrzutek, znajda... i być może nie zazna w życiu miłości?...

Przyszłość spowiła się w czarną chmurę. Ujrzeni przed sobą grozę życia, kiedy im przyjdzie rozłączyć losy.

Dwa serca jęknęły żalną skargą.

Ten, który mówił z Walentyńcą, rzekł:

— Takie postanowienie jest okropne. Nie możemy się jeszcze teraz decydować. Życie dla obu nas stałoby się nieznosnym. Cóż znaczą miesiące zwłoki, coż znaczy choćby rok dla Walentyńcy?

Sójki wrzeszczały coraz głośniejsze. Puszczycy zaczął także swoje jęklive lamenty. Młodzieńcy opuścili głowy w bolesnej zadumie. Każdy z nich myślał o tem, że niepodobna mu przyjąć ofiary drugiego.

## III.

Dr. Savarre nie ustawał w swoich dochodzeniach. Pojechał do Gavres i do Viorne.

W Gavres zmieniono już prawie zupełnie obsługę szpitala. Pozostał tylko starszy lekarz dr. Formental. Ten pamiętał wprowadzić o niezwykłym wypadku, ale z czasem jął mniejszą doń przywiązywać wagę.

Savarre spostrzegł to odrazu. Wiedziony jakimś uczuciem zazdrości, postarał się zatrzeć fantazyjność tej przygody. Sprowadzał ją do fenomenów patologicznych.

Dr. Formental, który ślepo uwielbiał Savarra, uwierzył swemu sławnemu koledze. Opowiedział wszystko, co tamten chciał wiedzieć, nie żądając wzajemian żadnych informacji.

Ta rozmowa nie dostarczyła neurologowi nic nowego.

W Viorne nie znalazł Sarazze żadnego świadka naocznego. Musiał jechać jeszcze pięć dni, aby się zobaczyć z drem Herbello i z sanitaryuszem Aleksandrem.

Savarre, podobnie jak Formentalowi, tak i doktorowi Herbelle wytłumaczył, że ten wypadek „Givreuse’ów” należy do dziedziny potologii nerwów i że chodziło tutaj o podwójne złudzenie, wywołane zmęczeniem, bólem i ranami.

Dr. Herbelle uczynił wprawdzie kilka niedowierzających uwag, ale ostatecznie i on przestał się tem tak silnie interesować i skłonny był wierzyć, że dziwna przygoda była daleko mniej niezwykłą, niż się to początkowo wydawało.

Nie upierał się więc przy swoim zdaniu i nie protestował, kiedy doktor Savarre rzekł mu na pożegnanie:

— Są jeszcze tylko pewne zaciemnione szczegóły, ale sądzę, że wkrótce to zdołam wyjaśnić.

Doktor Savarre zbadał pole bitwy. Nie zobaczył nic szczególnego, oprócz chłopa zamku Grantaigle.

Luźność miejscowa opowiadała wstrząsające rzeczy, które wszakże nie naprowadziły lekarza na żaden nowy ślad.

Doktor Savarre zwiedził Grantaigle. W zamku pozostał jedynie stary, dziecienny, głuchy ogrodnik Neurolog zdołał z trudem wydobyć od niego wiadomość, że pan zamku zniknął, a służba częścią rozproszyła się, a częścią wyginęła.

Savarre błądził wśród ruin, bezskutecznie jednak. Okoliczni mieszkańcy udzielili mu garść informacji o właścicielu, Antonim de Grantaigle.

Był to człowiek przeszło pięćdziesięcioletni, który niegdyś posiadał pewną sławę. Dokonał trzech, czy czterech oryginalnych odkryć w dziedzinie chemii fizycznej.

Ale prawie już od ćwierćwiecza zerwał stosunki z Akademią Umiejętności i nie ogłaszał wyników swych badań w pismach fachowych.

Nie znaczyło to wszakże wcale, aby zaniechał pracy naukowej. Przeciwnie, pracował gorliwie w swym wielkim laboratorium, które urządził sobie w zamku.

Krały niejasne wieści, że jego doświadczenia ogarniały zarówno biologię, jak i nauki fizyko-chemiczne.

Po zwycięskiej bitwie nad Marną, dwóch jego siostrzeńców przybyło do zamku. Wkrótce jednak odjechali.

(Ciąg dalszy nastąpi).